Nr. 13 (1627) Warszawa, 30 marca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

Szanownym abonentom przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał II-gi.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Lumpenburżuazja.

Polska nie należy napewno do krajów nasyconych do zbytku kulturą nowoczesną, a przeto lekceważyć jej ani pomiatać nią nie może. Przeciwnie, ustrój, który w pewnych najwyżej wybujałych społeczeństwach uchodzi (teoretycznie) za przekwitły, tutaj ujawnia na każdym kroku rażący niedorozwój. Posiadamy nikłe, w znacznej części obce mieszczaństwo, również obcą nam jest dotychczas mieszczańska, demokratyczna kultura, czyli, innymi słowy, nie doroślismy jeszcze do powszechnej, obowiązującej dziś normy współżycia.

Co gorsza, nie umiemy cenić jej należycie. I nic dziwnego. W zespołach naszej inteligiencji postępowej, która niewielką tworzy oazę na pustkowiu bezbrzeżnie zachowawczego kołtuństwa — zagnieździł się i rozpanoszył niebezpieczny wróg wewnętrzny: nieprzejednana, wrzaskliwa, warcholska, bezpłodna *lumpenburżuazja*.

Nie jest od tej plagi wolne i T-wo Kultury Polskiej, o czym świadczy przebieg świeżo odbytego zjazdu.

Cóż to jest *lumpenburżuazja?* Krótko mówiąc: sfera zdeklasowanych mieszczan.

Wytrąceni z mieszczańskiej, twórczej normy życia, a niezdolni przystosować się do właściwego tempa rozwoju czwartego stanu, wnoszą w jego szeregi ogromny zasób czysto mieszczańskich przywar: deprawację, histerję, cynizm, kult frazesu, strzępy gotowych formuł i nieprzejednanych doktryn nienasyconą ambicję chybionych Maratów i sposobienia żółciowe dozgonnych śledzienników. W tym oto wdzięcznym rynsztunku bojowym podnosi lumpenburżuazja sztandar buntu przeciw znienawidzonej kulturze, głosząc wszędzie i zawsze zwierzchnictwo czwartego stanu, niepokalaną prawdę jego ideologji i nieomylność jego proroków — co nie przeszkadza zresztą, że, rozdarta na różne sekty, grzmi zgiełkiem wzajemnych wyzwisk, oskarżeń i wyklinań.

Tymczasem stan czwarty nie gra nigdzie na świecie roli zwierzchniczej i nieprędko dorośnie do niej, zwłaszcza w naszych warunkach, które wszak sami pp. przysięgli egzegeci z redakcji *Światła* przyrównywują z Anglją z początku zeszłego wieku, co jest dość głęboką perspektywą.

To im nie przeszkadza domagać się wielkim głosem by nasza inteligiencja mieszczańska zrezygnowała z kierowniczej swej roli kulturalnej i poszła pod komendę czwartego stanu *resp.* pod ich własną komendę, choć Bogiem a prawdą, często nie mają ci ludzie nic wspólnego ani z kulturą polską ani z polskim proletarjatem.

Podobne absurdy głoszono z gorliwością godną daleko lepszej sprawy w czasie minionej zawieruchy, dziś tułają się one tam, gdzie bolesnych lekcji zapomniano i niczego się snadź nie nauczono.

Raz na zawsze wypada zdjąć z ludu robotniczego winę tych wszystkich, w jego imieniu dokonywanych, zaczepnych zakusów i wrogich względem Kultury Polskiej uroszczeń. Mimo niezmiernej goryczy, która płynie z poczucia doznanych w życiu krzywd i nierówności, mimo łatwych do wybaczenia odruchów nieufnej podejrzliwości wobec ludzi innego stanu — robotnik zdolen jest żywić istotny pietyzm dla Kultury Polskiej i wywyższyć ją ponad względy i antagonizmy klasowe — o ile mu tych kryterjów nie wytrącą z ręki i o ile nie zdeprawuje go doszczętnie niesumienna jakaś

agitacja. Zato *lumpenburżuazja* staje otwarcie w szeregach zaciętych Kultury Polskiej wrogów. Wespół z klerem bojkotuje i tropi jej wydawnictwa. Wespół z organami ciemnych bractw odzywa się o niej z urągliwym przekąsem.

Gdyby zawierzyć jej na słowo — niemasz na ziemiach polskich większej ohydy, jak postęp i myśl wolna. Cały swój impet bojowy, przezornie w innych potrzebach szczędzony, zwraca *lumpenburżuazja* przeciw inteligencji postępowej. Cały swój rozmach światoburczy zużywa w metodycznym szkodzeniu znienawidzonej „mieszczańskiej" kulturze, której wszelako nic ze swej strony przeciwstawić nie umie, jako hybryda skazana na wieczną bezpłodność.

Ł. G.

PREGLĄD POLITYCZNY.

(*Coal Mines Bill* w Izbie gmin. — Mowa Winstona Churchill'a. — Zatarg francusko hiszpański.— Sprawy niemieckie. — Podróż Wilhelma II).

Podczas gdy w Niemczech bezrobocie górników skończyło się bardzo rychło zupełną przegraną wobec braku wytrwałości z jednej a brutalnych represji z drugiej strony — angielska „walka tytanów" trwa wciąż z nieubłaganą zajadłością a w zupełnej ciszy i porządku prowadzona. Wobec dotkliwych strat, jakie ponosi z tego powodu przemysł krajowy, rząd, stosownie do zapowiedzi, wniósł do Izby Gmin projekt minimalnej płacy w kopalniach, spodziewając się przymusem prawnym skłonić obie strony do zgody. *Coal Mines Bill* ogranicza się tylko do *zasady* płacy minimalnej w myśl żądań robotników oraz określa sposoby organizacji komitetów mieszanych w każdym okręgu, które wysokość tej płacy mają każdy z osobna ustalić. W tej formie projekt rządowy spotkał się z opozycją stronnictwa pracy, które chce wysokość płacy minimalnej określić ryczałtem. Wniosek stronnictwa pracy został jednak odrzucony 326 głosami przeciw 83; ze swej strony przedstawiciele organizacji górniczych wystąpili z podobnym wnioskiem na naradzie z właścicielami kopalń, wskutek czego układy zerwano. Asquith, którego całe zachowanie się w tej sprawie zasługuje na najwyższe uznanie, oświadczył w Izbie Gmin, że zabiegi pojednawcze rządu spełzły na niczym, obie zaś strony walczące ponoszą ciężką wobec kraju odpowiedzialność.

Ciężki kryzys wewnętrzny nie wpłynął ani trochę na sprawność admiralicji, której „pierwszy lord" Winston Churchill, komentując budżet tegorocznych wydatków na flotę (450 miljonów rubli) oświadczył wręcz, że na każde trzy nowe nadprogramowe *dreadnought'y* niemieckie — Wielka Brytanja odpowie pół tuzinem jeszcze potężniejszych, jeszcze sprawniejszych, jeszcze kosztowniejszych olbrzymów pancernych. Szorstka otwartość brytańskiego ministra wywarła w Niemczech wielkie wrażenie, bynajmniej nie wpływając na złagodzenie tonu prasy zwłaszcza wszechniemieckiej i agrarnej.

Przewlekły zatarg francusko-hiszpański z powodu Maroka wikła się coraz bardziej. Po mozolnych rokowaniach p. Garcia Preto, hiszpański minister spraw zewnętrznych, ofiarował Francji mniej więcej ósmą część żądanych terytorjów, przytym na pustkowiu, odciętym od morza. Nic dziwnego, że zirytowany p. Geoffroy, ambasador Francji w Madrycie, wyjechał do Paryża i nie chce wracać na dawne stanowisko, a prasa paryska, uważając te propozycje za kpiny, radzi rządowi zdjąć rękawiczki i pokazać Hiszpanji.. pięść.

Niemcy z kolei borykają się z trudnościami wewnętrznymi niemal bez wyjścia. P. Wermuth, niemiecki minister finansów, podał się do dymisji, nie widząc możności wprowadzenia w życie projektu podatków spadkowych bez poparcia socjalistów w Sejmie Rzeszy, co w obecnych warunkach wydaje się rządowi potwornością. Dymisja p. Wermutha stawia z kolei kanclerza Rzeszy w położenie nader kłopotliwe, co się zaś tyczy p. von Kiderlen-Waechtera, to i jego pozycja mocno jest zachwiana wskutek *fiaska* sprawy marokańskiej i niedaw-

ECHA PRAWDY.

Jubileusz Kazimierza Przerwy-Tetmajera.

Na dzień 27 marca r. b. przypadł dwudziestopięcioletni jubileusz twórczej pracy Tetmajera.

Piewca to olbrzymiej mocy zmysłów od żywiołowych wybuchów szału, od rozedrgania wrażliwości w krwawy płonący k-zyk rozkoszy, — do miłośnie stężałych w marmurowe helleńskie piękno ciał, do zapadań na wrzosowych łąkach znużenia w mgły melancholji, w niebyty, w „bez dna samego błękitu"; twórca zaklinający własną za bohaterstwem tęsknotę w przedziwnie uroczy świat, wybujały chmurnymi turniami junactwa, roztętniony jak potoków dygotem — nieokiełznanymi porywy, smreków klechdowymi gwary szumny, owiany wichrem ukochania epos tatrzański i romansopisarz, acz nieraz uginający się pod brzemieniem doczesności, lecz zawsze spowiedniczo szczery liryk, pełny tonem, wykwintny formą, nieodparty w bezpośredniości wrażenia i ekspresji, piękny.

Poecie — jubilatowi w słowach niniejszych składamy hołd, jako jednemu z tych, którzy „wiek nasz pomknęli, dotykając duszy".

Semper idem.

Jerzy Zaborowski z Płockiego, umierając, zapisał pięć tysięcy rubli na szkołę w Sokołówku, pozostającą pod opieką pp. Świętochowskiego i Malinowskiego. Brat jego, inżenier, mieszkający na Zaporożu, prawdopodobnie nie znając panujących u nas stosunków, przekazał sumę tę w depozyt Centralnemu Tow. Rolniczemu z tym, aby ono płaciło procenty od tej sumy do czasu egzystencji wyż. wym. szkoły, sądząc, że C. T. R. jako najpoważniejsza instytucja w kraju, najlepiej zaopiekuje się ofiarowaną na krzewienie rolnictwa wśród ludu, sumą.

Zapis ten jednak znalazł się w Centralnym Tow. Roln. jak pies w kręgielni, gdzie podniosła się gwałtowna opozycja, aby raczej ofiary nie przyjmować, niż popierać tak „przewrotową" instytucję, jak szkoła gospodarzy rolnych w Sokołówku.

Chociaż oponenci zastrzegali się ostrożnie, że nie występują wcale jako przeciwna polityczna partja, ale z tonu ich przemówień wyraźnie się to wyczuwało. Jednakże, tym razem duch rozwagi wziął górę u większości członków, która też poparła wniosek komitetu Tow. i zapis w głosowaniu przyjęty został znaczną większością, która widocznie zaczyna pojmować już, że wiedza rolnicza, jakimkolwiek korytem dopłynie do ludowej

nych alarmów, których mu koła finansowe niemieckie nie mogą darować.

Wśród tylu trudności cesarz Wilhelm II rozwija gorączkową czynność, o której nic jeszcze pewnego powiedzieć nie można. W każdym bądź razie wizyta jego w ambasadzie francuskiej, sesja związkowej rady wojennej, podróż monarsza na Korfu, dokąd udał się też na specjalne wezwanie kanclerz Rzeszy, narady z królem Wiktorem Emanuelem — to wszystko, wespół z trwożnym nastrojem prasy i giełdy świadczy, że stoimy w przededniu donosłych wydarzeń w polityce światowej.

Uświadomieni.

Od lat dwudziestu, conajmniej, demokraci wszystkich odcieni zajmowali się u nas — każdy na swój sposób — uświadamianiem robotnika. Wiara w proletarjat fabryczny, powołany do odegrania wielkiej historycznej roli, w masy robocze samą siłą swego rozpędu pchające naprzód rydwan dziejów, przenikała nawet do obozu przeciwników klasowego światopoglądu i pobudzała do jaknajżarliwszego współzawodnictwa w opanowaniu tak żyznego i obiecującego terenu.

Z teorji naukowej uczyniono hasło agitacyjne, z historjozoficznej hypotezy — dogmat. Do walki z nowymi stanęły stare hasła i stare dogmaty, a polemika rozgrywała się na plecach proletarjatu. Założenie wyglądało tedy mniej więcej tak: ta doktryna okaże się słuszną, której apostołowie liczniejszy tłum robotników w koło siebie zgromadzą. Gdy zaznajomił się choć trochę z daną kwestją a uczuł w sobie iskrę bożą, każdy demokrata, od lat 14-stu począwszy, szedł do robociarzy nieść im swoją ewangelję i swój katechizm.

Na gruntowniejszą edukację oczywiście nie było czasu, gdyż pilno było sięgnąć po wawrzyn zwycięztwa. Szło się tedy po drodze najmniejszego oporu. Już stary Szekspir zauważył, że jak ptaki łowią na sidła, zwierzynę w zasadzki tak człowieka na pochlebstwa.

Serwilizm, karjerowiczostwo i demagogja posługują się tą samą sztuką, różnią się zaś tylko polem działania. Skutki ich są zawsze również jednakie. Czy systemowi temu podlega jednostka, grupa uprzywilejowana czy liczebnością swą tylko potężna masa — zawsze płaci koszta gry, stacza się bowiem tak nisko pod poziom właściwej swej wartości, jak wysoko ponad niego wynosić się pozwoliła.

Smutnym wynikiem owej pośpiesznej a tandetnej metody uświadamiania, owej taniej demagogji obliczonej na krótki termin — jest to, że nasz robotnik jest dziś najmniewdzięczniejszym żywiołem dla istotnej kultury, że do dawniejszej jego bierności przybyła tylko bezmyślna maniera, że umysł jego na ogół zatracił swój przyrodzony pęd rozwojowy, samoistność, indywidualność, zmysł krytyczny, a wtłoczony w ramki szablonu, tępieje zupełnie w tej samej mierze, czy szablon ten otrzyma z rąk czarnego czy czerwonego duszpasterza.

Utarł się u nas dość powszechnie żywcem z obcych języków przetłómaczony aksjomat, że chłop jest zawsze ciemny, zacofany, dziki,—robotnik ruchliwy, inteligentny, postępowy.

Kto przed dwoma tygodniami przysłuchiwał się w sali Muzeum obradom staszycowskiego zjazdu, a potym w poniedziałek ubiegły był obecny na posiedzeniach dorocznego zjazdu w Towarzystwie Kultury Polskiej, mógł się raz na zawsze wyleczyć z tego przesądu.

Tam, wśród chłopów, znać było rzeczywiste uświadomienie, samoistne poglądy z bystrej obserwacji wysnute, określone dążenia, rozwagę, zmysł krytyczny wszechstronnie rozwinięty, gdyż nietylko na zewnątrz lecz i na wewnątrz zwrócony, wreszcie — last not least — wysoki stopień kultury duchowej, głębokie poczucie godności. Jeśli tam hasło naczelne brzmiało „Sami sobie“, nie było ono pustym frazesem. Chłop sam sobie chcąc

ciemnej masy, zawsze ją podniesie i ekonomicznie i społecznie i że dobro ogólne górować powinno ponad partyjnymi, chwilowymi waśniami, które politycy wprowadzają nawet do obory.

Macochizm za Oceanem.

Niezwykłe, wprost do wiary trudne stosunki w parafjach polskich w Ameryce opisuje *Młotek Duchowny* w obfitej swojej rubryce korespondencji. Oto kilka z brzega uszczkniętych cytat: Ks. Kopytkiewicz w Adams, Mass., tak sobie parafjan naraził, że jeździ w asyście kilku policjantów, mszę odprawia w obecności detektywów, przyczym wygraża pięściami wiernym i woła od ołtarza:

— Ja was zetrę na proch — wy końskie łby, psy wściekłe!

Ks. Morys w Woonsocket, R. S. w krótkim czasie roztrwonił 25 tys. dolarów, uciułanych na kościół przez biedny lud górniczy.

Ks. Chałupka, w Turners Fall, Mss, w podobnych warunkach, gdy mu parafjanie zagrozili protestem, wysłał na wiec siostry różańcowe z kijami, opatrzonymi w ostrza stalowe. „Siostry“ poczęły wyć przeraźliwie, a jedna z nich uderzeniem kija wybiła przewodniczącemu oko.

Wspomniany ks. Kopytkiewicz proboszczował ongi w Manaunuk, Pa. gdzie w plebanji urządził łazienkę dla kobiet: „które młode i ładne to sam je szorował i mył.“

Podobne ceremonje odprawiał u siebie ks. Bartek Świnko w Dunkirs i ks. Pleszenajtys w Pitsburgu.

Ślepy zakonnik ks. Sołtysiak na plebanji w Rockwille utrzymuje formalny harem *à la* Rasputin-Nowych.

Wobec takich obyczajów trudno się dziwić, że ruch antyklerykalny rośnie w Polonji amerykańkiej z żywiołową mocą, a tamtejsza prasa wolnomyślna olbrzymim cieszy się powodzeniem.

Po spowiedzi.

Obowiązkowość spowiedzi jest sankcjonowana przez szkołę polską. Ksiądz prefekt na najbliższej po spowiedzi lekcji w dłuższej przemowie ubolewa nad małą żarliwością religijną klas wyższych i albo odbiera kartki — albo też wprost stawi pytanie:

— Czy byłeś u spowiedzi?

Tutaj postrzegamy zaraz podział na grupy, jedna z nich — to młodzież katolicka — owi, których widzieliśmy u kratek konfesjonału. Ta oddaje kartki bez szemrania. Drudzy — to najczęściej młodzieńcy odrzucający dogmat: są jednak i tacy pośród nich, którzy w imię wolności

zdobywać dobrobyt i oświatę, świadomie na siebie nakłada obowiązki, prawidła postępowania, sam sobie stawia wymagania i zarzuty. „Jesteśmy ciemni, jesteśmy brudni, mówi, lgniemy więcej do kieliszka niż do książki — to jest nasza plaga i krzywda". Słucha tego przeszło dwustu chłopów i żaden ani myśli się obrażać nawet wtedy, gdy o pijaństwie, niechlujstwie, ciemnocie lub przesądach chłopskich mówi inteligent. Przeciwnie, każdy dorzuca jeszcze ze swej strony uwagi krytyczne, każdy szczerze szuka dróg do naprawy.

Słów krytyki tego rodzaju nie dopuszcza robotnik; widzi w nich wprost obrazę proletarjackiego majestatu. Jakieżby to piekło zawrzało na zjeździe Towarzystwa Kultury polskiej, gdyby ktoś świadomy stanu rzeczy zechciał odmalować życie robotnika tak, jak u Staszycowców życie chłopa, nie w świetle krzywd doznawanych lecz własnych jego wad i braków. Na ten niebezpieczny eksperyment nikt się bodaj jeszcze nie puścił; mieliśmy jednak próbki, pozwalające wnioskować o przypuszczalnym efekcie, jakiby on wywołał.

W sprawozdaniu ze sali zajęć, otwartej przez T. K. P. dla dzieci ulicy, skonstatowano smutny stan zaniedbania, w jakim ta dziatwa pozostaje, jej dzikie wybryki, jej obyczaje nieokrzesane, ilustrujące zarazem i nieodzowną potrzebę i niesłychaną trudność zaszczepienia jej obok zewnętrznej kultury zdrowego moralnego kierunku.

Delegaci robotnicy z oburzeniem protestowali przeciw takim uwagom upatrując w nich obrazę całej klasy proletarjackiej. „Ubliżono rodzicom tych dzieci"— wołali, — nie pytając nawet, czy te, które były materjałem spostrzeżeń, mają rodziców, i czy oni naprawdę z pracy żyją. Przecież w tym zbiorowisku małych uliczników znajdować się mogą dzieci złodziei, prostytutek, lumpen-proletarjatu — nie tylko proletarjatu. Jeśli zaś pozbawiona opieki dziatwa robotnicza na ulicy z takim towarzystwem przestając, narażana jest na zdziczenie i zepsucie, czyż nie należy się szczere współdziałanie i gorące poparcie, a nawet uznanie tym, którzy jej wynagrodzić pragną brak domu i domowej opieki? Taka myśl nawet nie błysnęła w głowach pochlebstwami durzonych aż do bezprzytomności.

Wnosząc z ich przemówień — należałoby mniemać, że to raczej cała inteligencja nasza jest zupełnie głupia, zacofana, barbarzyńska, nic nie warta, zaledwie godna, by ją dopuszczano do kształcenia dzieci robotnika, do zasiadania z nim w tych samych komitetach, do wygłaszania dla niego odczytów, lub redagowania pisma. Zwłaszcza to ostatnie powinnoby podlegać bardzo ścisłej cenzurze nieomylnego proletarjatu, gdyby nie to, że pociągałoby to za sobą obowiązek czytania, co jest zbyt męczące. Lud roboczy zresztą czytać nie potrzebuje; jak każdy dworakami otoczony władca, ma on swoich lektorów, którzy mu mniej lub więcej wiernie z odpowiednimi komentarzami referują to, co go interesować może, o co się gniewać lub czym cieszyć powinien. Podburzony takim doniesieniem robotnik protestuje i oświadcza, że on nadal nie przyjmuje odpowiedzialności za kierunek pisma — którego zresztą dotąd *bezpośrednio* czytać nie raczył. Zdumienie powszechne!

Któż zechciałby czytać np. Świętochowskiego, gdyby jego artykułów nie żyrował jaki ślusarz, cieśla lub mularz?!

W powyższem zdaniu już kryje się bardzo zuchwałe bluźnierstwo. Wolno powiedzieć lekarzowi, że się nie zna na poezji, adwokatowi, że niema pojęcia o pedagogji, uczonemu, że jest w polityce analfabetą, lecz mówić robotnikowi, że nie jest on wyrocznią w publicystyce, socjologji, historji, ekonomji politycznej i wszystkich kwestjach aktualnych — może tylko obskurant czystej wody.

Nic dziwnego; jest on tylko pojętnym i uległym uczniem tych lekkomyślnych i niesumiennych wychowawców, którzy stojąc za jego plecami podpowiadają mu lekcje, grzmiącymi oklaskami pokrywają każde bzdurstwo, które on wygłosić raczy, manifestując wobec świata swą nieposzlakowaną demokratyczność. Gdyby on choć raz postarał się myśleć własną głową, może wykrzesał by z niej

---

sumienia sprzeciwiają się księdzu, choć nie zastanawiają się głębiej nad sprawami własnej wiary.— Ci zgodnym chórem odpowiadają:

— Uważając, że pytanie zadane przez prefekta jest wdzieraniem się w życie wewnętrzne, że stanowi ono przymus moralny, a zatym demoralizuje — odpowiedzi żadnej nie dajemy.

Ksiądz, uważając ich ryczałtem za niedowiarków poczyna tyradę o wyznaniowości szkoły polskiej.

— Tutaj jest szkoła dla ludzi religijnych i jeśli ktokolwiek chce się w niej uczyć — musi się uczyć wszystkiego, co tutaj jest wykładane, a więc i religji. Że zaś religja bez praktyk, jako fizyka bez doświadczenia — nie jest pożyteczną i nie daje się ująć — przeto, wniosek prosty:

— Musicie iść do spowiedzi!..

Ale młodzież pozostaje na swoim stanowisku. Wówczas prefekt zaprasza na konferencje, agituje i zużywa wszystkie swoje stare argumenty przeciw wolnej myśli, aby tylko przyciągnąć niemi do konfesjonału „zbałamuconą" młodzież... Skoro i to nie pomaga — udaje się po wymiar sprawiedliwości do władz szkolnych. Na najbliższej radzie pedagogicznej żąda stanowczego usunięcia „parszywych owiec".

Że zaś tych „parszywych owiec" jest nieraz większość, a i rada pedagogiczna nie zawsze idzie ręka w rękę z prefektem, więc żądanie księdza pozostaje bez skutku. Jednak niektórzy, katoliccy szczególnie, nauczyciele, jak również zarząd szkoły, widzą w chłopcach „rozkładowy element" i poddają ich najprzeróżniejszym szykanom.

Ze swej strony zaś prefekt stawia im stale złe stopnie — pilnie wyczekuje najmniejszego przewinienia, aby zeń skorzystać i usunąć chłopca— psuje mu stale opinję i pocichu uprzedza rady opiekuńcze przed niedowiarkiem, aby mu, broń Boże, nie udzieliły stypendjum...

Za cóż chłopcy owi cierpią prześladowania ze strony swych przewodników? Czy za brak wiary, za obojętność religijną?

Oh! nie. Przecież forytowana przez księży młodzież magnacko-katolicka także rozstała się już dawno z wiarą w średniowieczne dogmaty. Ale ona brak wiary pokrywa hypokryzją. Natomiast młodzież demokratyczna i wolnomyślna pragnie szczerości w myśli i w działaniu, brzydzi się kłamstwem i gardzi obłudą.

I tego duchowieństwo nasze darować jej nie może.

Dwa światy w jednym.

W Nr. 12 warszawskiego tygodnika obrazkowego *Świat* widzimy dwie ciekawe ilustracje.

Stronica jedenasta. Panowie polują. Dzie-

normalną dozę zdrowego rozsądku. Może nawet rozwinął by w sobie nie mniej zdumiewającą bystrość, logikę, polot myśli, — niż te, jakich przykłady dają już członkowie Kółek Staszycowskich. Ale nigdy mu na to nie pozostawiają czasu jego dworacy i basiści. Umieją oni przecież i bezpośrednio wygłaszać nie mniej rażące absurdy. Wszakże przygrywką do tych wystąpień była uwaga jednego z nich, że zarząd podając statystykę członków T. K. P. z wyszczególnieniem zawodów, do jakich należą, zgrzeszył przeciw zasadom demokratycznym zdradził swe kastowe tendencje. Boć oczywiście, kiedy wszyscy są równi, nie należy, broń Boże, wyliczać, ilu jest adwokatów, doktorów, rzemieślników, duchownych, urzędników, ani też ilu mężczyzn, ile kobiet.

Cóż się tu dziwić, że gdy taką zaintonowano melodję na wstępie, ten „Leitmotiv" powtarzat się i w dalszym ciągu. W sprawozdaniu swym Zarząd stwierdził, że większość członków należy do klas niezamożnych. „Protestuję przeciw temu obrażającemu wyrażeniu! Nie wolno nas nazywać klasą niezamożną; jesteśmy klasą pracującą".

O co temu chodziło?—nie wiadomo Prawdopodobnie o to tylko, żeby protestować. „Protestuję, więc jestem!"

Ciężkie i na razie niewdzięczne zadanie mają dzielni pracownicy szerzący Kulturę Polską tam, gdzie dotąd nie surowe ugory lecz staranną uprawą szkodliwego chwastu zanieczyszczoną glebę znajdują. Łatwiej nauczyć niż oduczać, a nasz robotnik dopiero wtedy naprawdę kształcić i rozwijać się zacznie, gdy zrozumie, jak wiele najprzód oduczyć się powinien.

J. Tarczewski.

Wskrzeszony Autorytet.

III.

Trzy idee były przedmiotem najzaciętszej krytyki Proudhona: zwierzchnictwo ludu; zasada narodowościowa; instynkt religijny. „Dogmat zwierzchnictwa ludu — powiada on — jest oczywistym głupstwem".

— Skądże ten bezwzględny wyrok? — zapytamy.

— Oto stąd, że dogmat ów w budowie rządu zapewnia przewagę głosowi większości, czyli słuszność zdania mierzy liczebnością tych, którzy je podzielają. Tymczasem dla Proudhona liczba nie bywa żadnym współczynnikiem prawdy lub słuszności zdania. Miljon ludzi, wyszedłszy z błędnego założenia, mylić się może, gdy tymczasem jednostka, rozumując prawidłowo, wbrew opinji miljona, poweźmie decyzję słuszną. Komuż tedy zaufać należy? Czy liczebności miljona? Nie. R o z u m o w i jednostki.

I w tym streszcza się stanowisko Proudhona: zwierzchnikiem nie może być lud, posługujący się pojęciami nieokreślonymi i zależny od uczuć chwilowych. Zwierzchnictwo powinno należeć do rozumu, czyli do prawa rozumowanego. „Niema zwierzchnictwa innego, — twierdzi Proudhon, — poza zwierzchnictwem rozumu oraz prawa," i „odkrycie prawa tego w polityce zarówno jak fizyce bywa jedynie wynikiem obserwacji i badań sumiennych: wola ludu przeto ani wola jednostki nic w tym względzie ważyć nie może." Inaczej mówiąc, polityka to — nauka. Polega ona, jak wszystkie nauki, na gromadzeniu postrzeżeń i na rozumowaniu postrzeżeń — ogarniających budowę i rozwój ludzkości od początku jej istnienia; rozumowań, — postrzeżenia owe porządkujących i wysnuwających stąd prawo powszechne.

— Ale któż robi postrzeżenia? Kto wysnuwa owe prawo powszechne?

— Uczony! — odpowie nam Proudhon. Tylko uczony, — i niema innych zwierzchników, po nad społeczeństwem, oprócz prawa (w znaczeniu naukowym) oraz uczonego, który je interpretuje.

Tym dwojgu—przeciwstawiać mętne i sprzeczne wyobrażenia i poczynania tłumu, nieznającego historji, nie umiejącego rozumować, czyż to

---

sięciu magnatów polskich z bronią w dłoni, a wszyscy butnie wznoszą głowy nad rezultatem trzydniowej pracy: sto pięćdziesiąt dzików pokotem padło im do nóg.

Pańskie, magnackie zdobycze... Wyrwani z bezczynności i lenistwa arystokraci polscy spędzając kilka dni i nocy w sleepingach przybyli do przepysznych kniej litewskich z najodleglejszych zakątków kraju, aby się bawić... Zabrzmiały lasy pobudką rogów litewskich, utytułowani panowie angielskie przywdziali kostjumy jako naganką trzystu ludzi spędzono i dalejże w knieje: panowie do czynu!

A choć tego lub owego polowanie umęczy — w kościach kawalerskie strzykają grzeszki — lub krew błękitna ledwie w żyłach tętni.—Trudno, mówią, trza wytrwać, trza reprezentować naród.

Boć fotografa ze sobą zwieźli, zdjęcie do pism pójdzie — poczciwy El ich w rymy ustroi i Polsce w chwale okaże.

Pozatym cóż czynić z czasem tutaj, w kraju, skoro już „wypada" tkwić na ziemi ojczystej?..

Nakoniec jest w polowaniu i nieco poezji.

— Jakże je pięknie nam w „Sobolu i Pannie" opisano... Przypominają się, dobrodzieju mój, dawne, lepsze czasy, łowy księcia Panie Kochanku kiedy to jeszcze, chłop znał swe miejsce...

Oto świat „poezji" kartka z życia polskiego. Ale odwróćmy ją.. Warszawa. Sala Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Setki głów, jedna tuż przy drugiej. Patrzą na nas oczyma, w których maluje się skupienie i uroczysty nastrój pracy.

Chłop polski przybył z najdalszych zakątków ziemi do stolicy, aby przez trzy dni obradować nad środkami walki z niedolą, z ciemnotą, z uciskiem...

Sala Muzeum zabrzmiała słowami, rzuconymi, jak ziarna, pewną ręką siewcy — w przyszłość...

Lud siemięzny polski — przedstawiciele kółek Staszicowskich — zjechali, aby godnie reprezentować Polskę demokratyczną, zdając sprawę ze swych prac na ugorach duszy i roli chłopstwa.

Ci ludzie w ciągu trzech dni zdołali się wielu, wielu rzeczy nauczyć, ukazali nam oblicze chłopa polskiego i dali wyraz swojej sprawności i dojrzałości społecznej.

Oto świat czynu — również kartka z życia polskiego.

Uniwersytet Warszawski w cyfrach.

Według urzędowego spisu w roku akademickim 1911—12 liczba studentów warszawskiego uniwersytetu wynosi 2,247; ponadto zaś spis wykazuje 113 farmaceutów.

Dla zorjentowania się w doborze żywiołów stud. podajemy liczebność pierwszych i czwartych

nie potworną niedorzecznością? — pyta Proudhon.— Nieodzownym i naturalnym wnioskiem, z jego założeń wynikającym, jest gloryfikacja despotyzmu oświeconego, rozumnego i naukowego.

Rozpatrywaliśmy już wartość tych założeń na innym miejscu [1]). W zasadzie, Proudhon ma słuszność zupełną. Gdy jednak od zasady teoretycznej spróbujemy przejść do wykonania praktycznego, natychmiast drogę nam zagrodzą przeszkody niezwyciężone. Któż bowiem posiadać może ową przez Proudhona żądaną wszechogarniającą znajomość ludzkości, jej natury i jej dziejów? Oczywiście, nikt jej nie posiada, ale każdy mieni się jej posiadaczem; każdy sądzi, że jest tym właśnie mędrcem — odkrywcą, któremu udało się wysnuć i sformułować „prawo dziejowe." Rzecz prosta, iż wszyscy błądzą poomacku; ale też historja ludzkości nie jest niczym innym, jak szeregiem błędów, w które popadano, z których w następstwie się dźwigano. Ludzkość innej drogi przed sobą nie ma: musi doświadczać, musi się mylić i błądzić, gdyż jedynie za tę kosztowną cenę zdobywa — poznanie prawdy, będącej zazwyczaj uświadomieniem poprzedniego błędu.

Wszystkie po kolei „zwierzchnictwa" następujące po sobie w historji, w różnych okresach, były szeregiem prób, podjętych przez człowieka, celem rozwiązania zagadnienia rządu. Zwierzchnictwo ludu jest owocem dziejowym, który dojrzał na drzewie tysiącoletnich prób, usiłowań, zawodów i klęsk doświadczenia politycznego ludzkości. Nim zjawi się oczekiwany ów Władca — filozof, uczony nieomylny, bóg socjologji, — ludzkość przyjmuje władztwo ludu, jako podstawę współczesnego rządu, jako podstawę najrozumniejszą i najsprawiedliwszą. Niechaj „obiecane królestwo" nauki nastąpi jaknajrychlej; wszelako zda się wszystko wskazywać, że dzielą nas odeń nieskończone wieki.

* * *

[1]) P. „W obronie demokracji", w *Prawdzie* r. b. Nr Nr. 6 — 9.

Wtórym celem pocisków krytycznej myśli Proudhona była *zasada narodowości*.

Zasada ta, wedle niego, więcej ma wspólności ze sztuką deklamatorstwa, niż z kategorjami wiedzy umiejętnej. Gorzko natrząsa się on z łatwości w snuciu analogji, przez współczesnych mu apostołów odrodzenia narodowościowego we Włoszech, Węgrzech i Polsce, między życiem osobnika a rozwojem narodu. Aby naród miał swe okresy dzieciństwa, młodzieńczości, pory dojrzałej i schyłku, podobnie jak osobnik, na to Proudhan przystać nie chce. Porównania tego rodzaju zdają mu się pozbawionymi podstawy. Schyłek starczy, naprzykład, użyty w zastosowany do narodu, przez podobieństwo ze zjawiskiem właściwym życiu jednostki, zdaniem Prodhon, jest poprostu błędem, wyraża rzecz niemożliwą.

Innymi słowy, Proudhon nie wierzy w byt narodu, w istnienie narodowości. Naród nie jest, w jego oczach, ani organizmem, ani organizacją; jest on tylko zrzeszeniem zaczepno-odpornym, istniejącym na wzór stowarzyszeń kupieckich albo przemysłowych. Wobec tego, narody, bądź niepodległe i potężne, bądź ujarzmione przez zwycięzcę, nie zasługują, w oczach Proudhona, na szacunek i praw żadnych rościć dla siebie nie powinny. Przeciwnie nawet: ponieważ związek zaczepno-odporny tym pewniejszy bywa, im jest szerszy, tedy narodowość drobna za rzecz pożądaną dla siebie poczytywać winna pochłonięcie swej odrębności przez naród potężniejszy.

Proudhon, wprawdzie, tego ostatniego wiosku sam nie wypowiada: nie mniej tkwi on domyślnie, jako ogniwo utajone w łańcuchu jego rozumowań. Poprzestaje on na stwierdzeniu, że narodowość jest czymś „nie podlegającym określeniu", oraz, że odtąd zasada narodowościowa ustąpić winna pola wszędy — zasadzie **w o l n o ś c i k o n s t y t u c y j n e j**.

Naród winien czuć się wolnym i szczęśliwym, o ile tworzy związek ludzi swobodnie mogących obmyślać środki i sposoby swego istnienia, swej obrony

---

kursów, (5-go kursu medycyny jeszcze niema) na różnych wydziałach.

Na 518 słuchaczy wydz. histor. filologicznego na I kursie jest 182, w tej liczbie 1 katolik i 172 prawosławnych, wychowańców seminarjum. Czwarty kurs na ogólną liczbę 113 ma 110 wychowańców seminarjum; katolików niema.

Na 77 studentów I kursu matematyki jest 48 prawosławnych (w tym 34 seminarzystów); katolików — 12. Na IV kursie w ogólnej liczbie 14 jest 8 prawosl. (4 seminarzystów) i 2 katolików.

Przyrodników na I kursie jest 61, w tej liczbie 43 prawosł. (30 seminarzystów) i 2 katolików. Na IV kursie — 23 tylko prawosławnych (17 seminarzystów).

I kurs medycyny ma 150 słuchaczów; w tym 73 prawosławnych (57 seminarzystów) i 57 katolików. Na IV kursie jest 95, wśród nich prawosławnych 68 (59 seminarzystów) i 12 katolików.

Na prawie stosunek liczb przedstawia się jak następuje:

Na ogólną liczbę studentów I kursu 282 prawosławnych jest 210 (136 seminarzystów) i katolików 39. Na IV zaś kursie liczba studentow wynosi 198, w tym 168 prawosławnych (145 seminarzystów), katolików — 6.

Spis urzędowy wymienia seminarja prawosławne, skąd przybywają wychowańcy do Warszawy. Obecnie na wydziale historyczno-filologicznym na wszystkich 4 kursach jest: 17 wychowanków summarjum tulskiego; 27 — kurskiego; 21 — orłowskiego; 24 — włodzimierskiego; 23 — smoleńskiego; 18 — chełmskiego, 16 — podolskiego; po 15 z twerskiego i połtawskiego; po 14 z kałuskiego, charkowskiego i wołyńskiego; 13 — woroneżskiego; po 12 stawropolskiego i saratowskiego; 11 — odeskiego; po 10 — niżnowogr. i litewskiego; po 9 — mińskiego, taurydzkiego, penzeńskiego, kiszyniowskiego, riazańskiego, kostromskiego, czernichowskiego; po 8 — kijowskiego, mohylowskiego, nowogrodzkiego, symbirskiego, wołogodzkiego; po 7 — kazańskiego, tambowskiego, archangielskiego, witebskiego, ryskiego; — 6 — pskowskiego; po 5 — bitańskiego, samarskiego, jarosławskiego, wiackiego, ołonieckiego; po 4 — dońskiego, ekaterynosławskiego; po 3 — permskiego, moskiewskiego; po 2 i 1 — tyfliskiego, krasnojarskiego, kutaiskiego, ufimskiego, irkuckiego, orenburskiego, blagowieszczeńskiego petersburskiego, tobolskiego, mitawskiego.

i postępu, choćby stanowił część zrzeszenia bardziej rozległego, które go obejmuje i pochłania.

Ten sposób widzenia rzeczy doprowadził zapewne Proudhona do uznania prawa siły. W rzeczy samej, z powodu narodowości wygłasza on zdanie, iż nienaruszalność zasady narodowościowej „zatamowałaby bieg cywilizacji". Mianowicie, stawi on za przykład cywilizację starożytną, która, dążąc do rozległych zrzeszeń społecznych, stopiła mnóstwo narodowości poszczególnych we wspólnym tyglu państwa rzymskiego; cywilizacja nowożytna, poczynając od schyłku wieków średnich, zdaje się zdążać znów w tym samym kierunku: lecz skoro dążność owa oblekа się w ciało jedynie pod naciskiem i przez działanie siły, to — wniosek stąd płynie oczywisty — siła, a nawet przemoc, znajduje usprawiedliwienie w swych skutkach, a więc — staje się rzeczą prawowitą...

Oto mamy charakterystyczną próbę zaślepienia, które ogarnąć może ideologa, fanatycznie zapatrzonego w swą wizję: dla narodów zwyciężonych, dla ludów wyzutych z praw narodowych Proudhon nie znajdzie ani słowa obrony, ani odczucia ich niedoli. Z równą bezwzględnością potępia on porywy niepodległościowe Polaków, jak usiłowania Włochów, zmierzające ku zjednoczeniu poszarpanej na części ojczyzny. Uważa je za sprzeczne z interesami cywilizacji nowoczesnej. Każda idea, gdy owładnie człowiekiem niepodzielnie, staje się potworem żarłocznym i zachłannym bez granic: zarówno jednostki, jak narody całe, nic przed niewzruszonym jej trybunałem nie ważą. Tym samym gestem, którym wezwała na służbę swą — jednostkę, pośle ona całe narody na zagładę, aby nie uchybić prostej linji swego kierunku.

Trzecim objektem burzącej analizy Proudhona jest instynkt religijny.

„Religja, powiada on, jest wrogiem nauki i postępu [2]): powiedzenie to, mogące się wydać bezbożnym słowem nienawiści, jest, w gruncie, niemal artykułem wiary." Nawiązując do myśli filozoficznej XVIII st. Proudhon jaskrawo przeciwstawia się sentymentalnemu romantyzmowi swych współczesników, ogarniętych nostalgją zbawienia, cudów, łaski bożej i innych dóbr religijnych. Proudhon jednakże nie jest ateistą: znalazł on słowo śmielsze od ateizmu: a n t i t e i z m. Zachowuje on boga, — mówi Bouglé [3]), — aby miał komu złorzeczyć. Pociąga on boga do odpowiedzialności za wszystkie niedole, które znosiła ludzkość i znosić musi dotychczas. Na tradycyjne pytanie, stawiane u wstępu do lóż masońskich: „Co człowiek winien jest Bogu?" — Proudhon odpowie z głębi przekonania: „Wojnę!"

* * *

Na dnie ostrych jego krytyk, obarczających zarzutami ideę zwierzchnictwa ludowego, równie jak zasadę narodowości oraz instynkt religijny, da się wykryć pewne podłoże wspólne: odrazę wobec tego wszystkiego, co ludzi jednoczy i wzajemnie wiąże. Lud, uważany jako istota zbiorowa, jest wyobrażeniem ścisłej wzajemnej zależności między członkami tejże istoty; a Proudhon tekiej właśnie współzależności unika. „Narodowość" znów opiera się na wyobrażeniu pewnej rasy, rozważanej jako osoba żyjąca w czasie nieograniczenie długim, i, dzięki temu, zyskująca pewne prawa doniosłe, a więc również wynika z pojęcia ścisłej współzależności między przodkami a potomnymi; Proudhon zaś tego pojęcia nie lubi i unika. Instynkt religijny, wreszcie, aczkolwiek może być czysto osobisty, zazwyczaj prowadził ku wytworzeniu rozległych systemów religijnych, będących najpotężniejszą więzią, łączącą człowieka z człowiekiem. Proudhon zaś był indywidualistą zaciekłym, i dotkliwie raziły go wszelkie tryby, którymi jednostka w życiu zbiorowym zahacza się o jednostkę. Pra-

[2]) P. „Création de l'ordre dans l. humanité," str. 10.

[3]) „La sociologie de Proudhon", p. str. 140.

Kazimierz Wroczyński.

MŁODY.

(Z pamiętnika redaktora).

3 stycznia.

...Jednak ta mała figa ma główkę nietylko do wydobywania ról, nietylko do prowadzenia mądrej polityki awansującej aktorki, ale i do tylu, tylu nieraz zupełnie dla mnie niespodzianych konceptów i pomysłów. Bo zestawmy tylko.

Kto mnie namówił do pisania pamiętnika? Moja mała Lala: „nic i tak staruszku nie robisz", powiada: „włóczysz się po premjerach, fiveo clock'ach kolacjach, w redakcji dobrze jeżeli choć pół godziny posiedzisz, i to o ile ma przyjść jaka ładna interesantka, oprócz swego podpisu na kartach zaliczkowych, nawet jednej litery nie drukujesz, — pisz choć pamiętnik. — Kto wie, po twej śmierci („po twym najdłuższym życiu" właściwie powiedziała)— rodzina wyda pamiętnik, który może dać wiele ciekawych przyczynków dla przyszłej historji kultury w Polsce, może po śmierci wreszcie („po oby jak najdłuższym dla mnie twym „życiu" powiedziała przyniesiesz jaki pożytek. — Pisz staruszku pamiętnik". — I ja, człowiek nienawidzący atramentu, ja, człowiek czytający tylko dziennik konkurencyjny i zrzadka rękopisy ja — redaktor, piszę pamiętnik, i nawet tak mnie to zajęcie bawi, że notuję po za uwagami dla potomności doniosłymi, i własne intymne przeżycia, które jednak z czasem wytnę i spalę.

Wracam do mojej Lali.

Kto jest jednocześnie dobrze ze wszystkimi sprawozdawcami innych pism? — Moja Lala. Głupcy myślą, że się jej podobają, a ja wiem, że moja Lala kocha tylko mnie, swojego „staruszka".

Kto mi daje najcenniejsze wskazówki co do kwestji nurtujących w danym momencie nasze społeczeństwo nasz świat literacki, malarski i teatralny. — ? Moja Lala.

Kto mnie zawsze ostrzega o zakusach mych wrogów, kto mnie ochrania od podszeptów różnych wilków w owczej skórze? Moja Lala.

Kto zawsze wynajdzie jaki młody, obiecujący talent godny poparcia? Moja Lala.

Ot i wczoraj. Przychodzę do niej trochę wprawdzie za wcześnie, bo o czwartej zamiast o wpół do piątej. Wiem, że Lala tego nie lubi, twierdząc że systematyczność i punktualność winna być moją główną zaletą, — przychodzę tedy i zas-

gnie on, aby człowiek był uosobieniem wolności; nie dopuszcza on między ludźmi żadnych innych stosunków, oprócz stosunków, wynikających z umowy dobrowolnej; z umowy, którą każdej chwili możnaby rozwiązać, zmienić lub zawiesić.

Ale indywidualizm stanowi jedną tylko stronę dążności Proudhona; pozostając od początku do końca skrajnym indywidualistą, jednocześnie od początku do końca był on — socjologiem. Indywidualizm swój usiłował usprawiedliwić właśnie na podstawie swej socjologji. Nikt nie miał żywszego nadeń zmysłu dla rzeczywistości bytu zbiorowego, nikt głębszego odeń zrozumienia właściwej temu bytowi logiki. Nikt nie popierał goręcej, niż on, idei równości w prawach przysługujących jednostkom. Niezmordowany, nieustanny wysiłek ku pojednaniu tych stron obu tłomaczy niesłychaną złożoność, niekiedy obosieczność teorji Proudhonowskich, naginanych w przeciwnych często kierunkach przez interpretacje późniejsze.

St. Romanowski.

BADANIA NAUKOWE.

Prawo mutacji w społeczeństwie.

Podstawowe prawa przyrody znajdują zastosowanie do genus *Homo* w tym samym stopniu, co do każdego innego ustroju. Można je przytem badać w stosunku do pojedynczej jednostki ludzkiej lub też do skupień osobników ludzkich, do społeczeństw. Naturalnie, dla tych ostatnich, nie mających równoznacznych sobie tworów w całym kosmosie, wytworzyć się muszą nowe prawa, jako wyniki odrębności człowieka (tworu, stojącego we wszechświecie oddzielnie), jako skutki „cywilizacji". Ale podstawowe prawa przyrody i w zrzeszeniach ludzkich wykryć się dadzą tak samo, jak wśród zbiorowisk roślinnych lub zwierzęcych; występują one w cokolwiek odmiennej postaci w zależności od własności gatunku *Homo*, ale stanowią niezbędny materjał do badań nie tylko dla socjologa lub historyka, lecz i dla przyrodnika.

Wśród praw przyrodniczych prawo „ewolucji", które od połowy XIX stulecia coraz potężniejsze obejmowało kręgi i niepodzielnie zdawało się panować w umysłach przyrodników, ustąpiło w ostatnim lat dziesiątku miejsca nowemu prawu—prawu „mutacji", jasno i dokładnie sformułowanemu przez *de Vries'a*. Okazało się — co zresztą wielu przyrodników wiedziało lub czego domyślało się, nie posiadało jednak dokładnych ku temu danych,—że w naturze nie zawsze wszystko dokonywa się drogą powolnego rozwoju, lecz że następuje niekiedy wybuchowe powstawanie nowych postaci w danym gatunku, będące wynikiem długotrwałego utajonego zmieniania się pokoleń osobników danego gatunku. Nie miejsce tu na rozbiór obydwu praw — ewolucji i mutacji — z przyrodniczego punktu widzenia, wystarczy jedynie i należy zaznaczyć, że obydwa te prawa stanowią do pewnego stopnia niepodzielną całość, że uzupełniają się nawzajem, a nie niweczą się, jak to przypuszczają mylnie niektórzy przyrodnicy. Tam, gdzie ewolucja z trudem da się zastosować, gdzie wymykają się z pod badań uczonego formy przejściowe, tam występuje wyraźnie i jasno mutacja, tłomacząca powstawanie nowych form po długim szeregu utajonych, niedostępnych dla badacza zmian w organizmach badanych. Dziwnem się tylko wydać może, dlaczego obydwa te prawa, tak proste i przejrzyste, dopiero w tak niedawnym czasie stały się dorobkiem czystej wiedzy i dlaczego prawo mutacji dopiero od lat kilku weszło do skarbnicy nauk przyrodzonych — wszak mamy doskonałe przejawy obydwu praw tych w społeczeństwie ludzkim! Przechodzimy obok nich od setek lat,

---

taję moją Lalę zaróżowioną i wzruszoną rozmową z jakimś młodym człowiekiem.

— Nasz wielki redaktor poznaje nas Lala — a to pan Majtalkiewicz młody i zdaniem moim bardzo obiecujący talent.

— Oh! pani, broni się młody człowiek patrząc z zażenowaniem i wdzięcznością zarazem na Lalę — zawstydza mnie pani i obarcza wielkością pokładanych we mnie nadziei.

Powiedział jeszcze parę miłych uprzejmości pod adresem Lali i moim, podał ogień do cygara przyniósł mi zapomnianą przezemnie chustkę od nosa z futra z przedpokoju, pokręcił się i zniknął

— Zaopiekuj się nim staruszku, — radziła mi Lala, bardzo zdolny, szkoda go wypuszczać z rąk, mamy i tak mało młodych sił w redakcji, nie przegap, bo chłopak niedoświadczony, pociągną go do konkurencyjnego pisma, nim się spostrzeże.

Obiecałem Lali zaopiekować się Majtalkiewiczem.

5 marca.

Nadzieje, jakie pokładała Lala w Majtalkiewiczu ziszczają się coraz bardziej. Wydrukowałem mu parę wierszy, potem nowelę (poprawiwszy nieco ortografję) dwa feljetony społeczne, i widząc, że chłopiec ma istotnie talent, bo zrobił nawet niezły wywiad z przejeżdzającym posłem do Rady państwa, nie widząc się z nim wcale, więc dałem mu stałe miejsce w redakcji.

14 marca

Majtalkiewicz jest nieoceniony. Zaimponował nawet Lali. Ta szelma potrafi wszystko. Niema dnia żeby nie dał czegoś do każdego działu. Przegląd polityczny, wierszyk, artykuł społeczny, sprawozdanie z wystawy obrazów czy wystawy kucharskiej, — wszystko potrafi. Aż się krzywią w redakcji, bo to temu to owemu wlezie w dział. A największy majstersztyk jego — to wzmianka. Lekko, popularnie z erudycją, poważnie a z dowcipem tak pyszne wzmiaki koncypuje, że ja, człowiek nie znoszący zadrukowanej bibuły, czytam je z przyjemnością. A reklamiarz, — pierwszej wody, zwłaszcza dla Lali. Duży talent.

4 kwietnia.

...Otrzymałem anonim, że Lala zdradza mnie z Majtalkiewiczem. Serdecznie się z tego uśmiałem, bo 1-o Majtalkiewicz nie śmiałby czegoś podobnego zrobić, 2-o wiem, iż wkręcił się w sfery zakulisowe i prawie co tydzień żyje z inną (sam mi to powiedział).

8 kwietnia.

Majtalkiewicz pisze sztukę, a ja mu ją poprawiam. Bardzo zdolny młody człowiek. Prosił mnie o stałą pensję i podwyższenie honorarjum. Naturalnie odmówiłem, — radziłem mu natomiast pisać więcej, to więcej zarobi.

badamy je z socjologicznego, historycznego, wreszcie etycznego punktu — ale nie zastanawiamy się nad nimi, jako przyrodnicy, wyodrębniając zrzeszenie ludzkie wraz z całym ich życiem w specjalną gałęź wiedzy, nadając społeczeństwom jakieś specjalne własności a pozbawiając je cech czysto zwierzęcych. Naturalnie, analogji między tym, co się odbywa w społeczeństwie ludzkim a tym co zachodzi w świecie zwierzęcym lub roślinnym jest właśnie na tyle, ile jest jej między gatunkami *Homo*, zrzeszającym się w sposób jedyny i odrębny a każdym gatunkiem zwierzęcym lub roślinnym.

Badając prawo ewolucji lub mutacji w przyrodzie, stosujemy je do poszczególnych jednostek gatunkowych, staramy się wykryć zmiany, zaszłe w osobnikach, bez względu na to, czy zaszły one w nielicznych indywiduach, czy też w obszerniejszych skupieniach lub zbiorowiskach. W gatunku *Homo* zachodzi jednak ta zasadnicza różnica, że musimy odróżniać obydwa te prawa w zastosowaniu do każdego człowieka poczczególnie oraz do całych społeczeństw. Nas interesują w dowodzeniu niniejszym jedynie zmiany zaszłe w całych gromadach ludzkich, nie dlatego, iż te ostatnie stanowią jakoby analogię do organizmu z przyrodniczego punktu widzenia, lecz dlatego jedynie, że występują w nich przejawy praw, które tu należy wykazać, daleko jaskrawiej i dobitniej, aniżeli w tak niezwykle zindywidualizowanej jednostce, jaką jest „człowiek". Ten wymyka się już z ramek pojęcia zoologicznego, wkracza w dziedzinę psychologji, stwarza odrębne genus. Społeczeństwo jednak, jako całość, ulega wszelkim prawom natury, dającym się określić i zbadać, często przewidzieć, ale nigdy odmienić. Mamy więc w tym społeczeństwie niesłabnące nigdy drgania, większe lub mniejsze wahania, bezustanne przeistaczania się, dające się ująć objektywnie, a prowadzące do nowych odmian form społecznych; badamy w tych razach wyraźne objawy ewolucji, którym społeczeństwo — zależnie od swego składu i okoliczności — ulega w większej lub mniejszej mierze, w zupełnie ten sam sposób, jak to obserwować można w naturze na tym lub innym gatunku. W konieczność ewolucji społeczeństwa wierzy dziś nie tylko każdy socjolog lub historyk, a, rzecz sama przez się zrozumiała, i przyrodnik ale każdy przeciętny członek tego społeczeństwa, który widzi w idei ewolucji gwarancją doskonalenia się form społecznych i t. zw. postępu, (o ile napływająca fala ewolucyjna jest falą wznoszącą się na krzywej ogólnej summy wahań, zwanej „ewolucją") lub też zatrzymaniu się na miejscu w ustroju społecznym ewent. nawet powrotu do form dawniejszych (o ile napływająca fala jest, w przeciwieństwie do poprzedniej, opadającą na krzywej ewolucyjnej).

Co do istnienia więc prawa ewolucji z socjologicznego punktu widzenia niema żadnych wątpliwości; natomiast nieustannie poddaje się krytyce politycznej i społecznej przejawy drugiego prawa przyrodniczego — *mutacji*, coraz bardziej rozwielmożniającej się w obrębie nauk przyrodzonych. Wydaje się więc i dziś jeszcze ułenaturalnym, aby miały powstawać nowe formy społeczne *nagle*, drogą wybuchu społecznego (a więc mutacyjnie), aby w niezwykle krótkim okresie czasu zastąpić miały utrwalone porządki, a raczej postać morfologiczną społeczeństwa postacią nową, do poprzedniej niepodobną. A pojmuje się pod wybuchem społecznym jeden krótkotrwały okres, prowadzący (lub mający prowadzić) do nowej postaci społecznej, zupełnie pomijając powolną nieraz, bardzo złożoną drogę ewolucyjną, najeżoną tysiącznymi wahaniami się, bezustannym wznoszeniem się lub opadaniem krzywej ewolucyjnej, której rozstrzygającym skokiem jest właśnie wybuch ostateczny, będący zakończeniem długiej ewolucji i nadający nowy kształt już oddawna formującemu się społeczeństwu. Ow długi okres ewolucji jest do pewnego stopnia (dla badaczów mniej bystrych) okresem *utajenia*, takim właśnie, jak go spostrzegamy w gatunkach, przeobrażających się drogą mutacji; odbywają się podczas niego bezustanne modyfikacje wewnętrzne

---

20 kwietnia.

Co to za Metternich ten Majtalkiewicz. W jeddym z tygodników wpadła mi przypadkowo w oko nowela podpisana Majt... Tknięty przeczuciem, zacząłem przerzucać poprzednie numery tegoż tygodnika i prawie w każdym tygodniu znajdowałem nowele, feljeton lub artykuł z podpisem Majt... Zirytowany zawołałem smarkacza i spytałem, co to wszystko znaczy, czemu drukuje po innych pismach rzeczy, które powinien umieszczać w moim piśmie. Wytłumaczył mi całą sprawę i obecnie dumny jestem ze sprytu mego chłopca. Moja szkoła. Owóż Majtalkiewicz chce swoją sztukę wystawić w teatrze. By celu tego dopiąć, obrał drogę najwłaściwszą: przez żonę dyrektora, babę starą, ale jarą i znaną ze swych apetytów względem młodych autorów. Chodzi tedy do niej parę razy na tydzień i strasznie lawiruje, by jej sobie nie zrazić i nie dać się uwieść jednocześnie. Lecz pewne ustępstwa czynić jest zmuszony. Do tych właśnie należy drukowanie jego utworów w wyżej wspomnianym tygodniku. Wprawdzie z tendencją utworów musi się naginać do kierunku pisma (tygodnik jest „antysemicki" podczas gdy moje pismo prowadzone jest w duchu konserwatywnym i tolerancyjnym), — nie mniej jednak cieszę się, że chłopiec kultywuje swój talent wszechstronnie.

2 maja.

...Sztuka Majtalkiewicza została przyjęta i będzie grana na początku zimowego sezonu. Pismo konkurencyjne z moim dało notatkę, że rolę główną w sztuce odegra p. Klupska (kochanka redaktora tego pisma). Uśmieliśmy się razem z Majtalkiewiczem z tej notatki, gdyż rolę główną Majtalkiewicz zagwarantował Lali.

8 maja.

...Lala jest wściekłą na Majtalkiewicza. Nie chciała mi powiedzieć powodu, podkreśliła tylko bym uważał na Majtalkiewicza i że on podobno „zwąchał się" z Klupską. Uspakajałem ją, twierdząc że to napewno jaki świeży metternichowski wybieg mego chłopca.

20 maja.

...Lala powiedziała, iż podejrzenia jej względem Majtalkiewicza były niesłuszne. Radziła przytem wysłać go zagranicę na jakiś miesiąc, by się otarł o kulturę europejską i pogłębił swój talent. W duszy się z nią zgadzam, bo chłopak ukończył niecałe dwie klasy, potrzeba więc, by nabył nieco erudycji, ale że trzeba jednocześnie dać mu à conto przyszłych korespondencji zagranicznych przynajmniej ze dwieście rubli, więc się waham.

4 czerwca.

...Wzgląd na przyszłość przeważył. Dałem

z początku nieznaczne, później zaś wciąż potęgujące się w przeciągu wielu, wielu pokoleń, dopóki nie nastąpi krótki w czasie, lecz niezwykle doniosły okres zmian zewnętrznych, widocznych dla oka każdego przyrodnika-badacza, zrozumiałych i przewidzianych (o ile chodzi o społeczeństwa) przez każdego człowieka-badacza. O ile jednak w pewnym, podlegającym mutacji gatunku roślinnym lub zwierzęcym, sił wewnętrznych, wywołujących nową, morfologicznie pozwalającą się wykryć odmianę badacz częstokroć określić nie może, z układem sił społecznych sprawa ma się cokolwiek odmiennie, gdyż geneza rewolucji daje się ująć przeważnie bez zbytnich trudności. Nie wpływa to jednak bynajmniej ujemnie na równoznaczność obudwu omawianych tu pojęć, a wynika jedynie z różnic między takimi jednostkami, jak społeczeństwo ludzkie a jakikolwiek ustrój świata zwierzęcego lub roślinnego. Dlatego też okres *utajenia*, trwający od jednego skoku mutacyjnego do drugiego, w gruncie rzeczy zaś podlegający oscylującym ruchom ewolucyjnym, jest dla każdego badacza bardziej wyraźny w sprawach czysto przyrodniczych, aniżeli w problematach społecznych. Tym więc dziwniejszym wydawać się musi pogląd tych przyrodników-socjologów, którzy uważają zjawienie się przejawów wybuchowych w przeistaczającym się ewolucyjnie społeczeństwie za coś anormalnego dla tego społeczeństwa, za wybuch przeważnie dlań szkodliwy, a całkiem zbędny. Z powyżej powiedzianego wypływa właśnie, że wybuch ten — zwłaszcza w ustroju społecznym — nie przedstawia niczego, tak dalece contra vim naturae dążącego, jak nawet sprawy mutacyjne dla gatunków zwierzęcych lub roślinnych, których jednak żaden przyrodnik nie neguje, lecz stara się zgłębić i zbadać jak najdokładniej. Nasunąć się mogą jedynie pytania, dlaczego z jednej strony pewne tylko gatunki ulegają przeobrażeniu drogą ewolucji, inne zaś znajdują się w okresie mutacyjnym, dlaczego zaś z zdrugiej strony pewne społeczeństwa rozwijają się drogą powolnej ewolucji, inne — znacznie szybciej z wybuchami lub też z wyraźnymi skokami po każdorazowym pozornym jakby zatamowaniu w rozwoju; niestety odpowiedzi jednak na nie znaleźć nie jesteśmy w możności. Nie jest wykluczonym, że badania przyszłych pokoleń rzucą pewne światło na te zagadnienia, wyjaśnią, jaką rolę — gdy chodzi o społeczeństwo — odgrywa charakter danego narodu, jego zdolność do zmian w różnych kierunkach, warunki zewnętrzne i t. d. i potrafią ująć otrzymane wyniki w pewną całość, stwarzając w ten sposób jakieś prawo socjologiczne; być może, i przyrodnicy wejdą na nowe tory poznania prawa mutacji - wówczas wyjaśni się to, co dziś jest jeszcze osłonięte mgłą gęstą, tajemniczą. Ale dziś już mamy prawo sformułować jako wynik dorobku naukowego dwu gałęzi wiedzy—nauk przyrodniczych i socjologji,—pozornie sobie dalekich, a jednak opierających się na tych samych prawach natury założenie następujące: z tych samych względów, na podstawie których prawo ewolucji, ujęte z przyrodniczego punktu widzenia, stosowane bywa do zmian, zachodzących w społeczeństwie, można również ujęte z tego samego stanowiska prawo mutacji stosować do wybuchów społecznych, stanowiących nagły wielki skok na krzywej nieznacznych stosunkowo wahań ewolucyjnych i będących wskutek tego nieraz najbardziej widoczną przyczyną zmiany formy społecznej.

Dr Stefan Sterling.

---

mu à conto korespondencji sto ośmdziesiąt rubli. Wyjechał wczoraj do Paryża.

10 czerwca.

...Lala wyjeżdża na urlop do Concarneau. Po drodze ma wstąpić do Paryża i zobaczyć, jak pracuje Majtalkiewicz.

3 lipca.

...Szelma chłopak do tej pory nie nadesłał ani jednego wiersza. Uspakaja mnie coprawda list od Lali, że Majtalkiewicz pracuje bardzo i pogłębia się, ale kiedy on odrobi wzięte sto ośmdziesiąt rubli, jeżeli będzie nadsyłał korespondencje tak, jak dotąd?

7 lipca.

...Otrzymałem depeszę od Lali: „Majt... est canaille. J'attends à vous à Ostende". Za parę dni wyjadę do Lali i odpocznę nieco. Jestem przemęczony pracą i brak mi strasznie Lali. W piśmie konkurencyjnym drukują bardzo dobre korespondencje z Paryża, a my od Majtalkiewicza nie otrzymaliśmy dotąd ani jednej. Zresztą powinien już wrócić, bo miał urlop miesięczny. Rozmówię ja się z nim po powrocie.

15 lipca, Ostenda.

...Jestem z Lalą w Ostendzie. Lala kocha mnie jak nigdy, nie pozwala tylko wspominać nawet imienia Majtalkiewicza. Mówi, że przekonam się do czego on jest zdolny. Zresztą jest mi przy Lali jak w raju.

5 sierpnia, Warszawa.

...Przekonałem się. Po powrocie do Warszawy (Lala przyjechała parę dni wcześniej) donieśli mi, że Majtalkiewicz zaręczył się z córką wydawcy konkurencyjnego pisma, którą poznał w Paryżu, że bierze gruby posag, zostaje narazie nieoficjalnym redaktorem świstka swego przyszłego teścia, kanalja!

12 sierpnia.

...Spotkałem na ulicy Majtalkiewicza z Klupską. Udał, że mnie nie widzi. Ona ma grać w jego sztuczydle główną rolę. A sto ośmdziesiąt rubli djabli wzięli.

21 sierpnia.

...Lala przedstawiła mi młodego a bardzo zdolnego chłopca. Czytałem jego utwory; obiecujący talent, przytem ukończył całe gimnazjum. Chłopiec obejmie w redakcji miejsce po tym kanalji Majtalkiewiczu. Lala wróży, że zaćmi on poprzednika...

K O N I E C.

POD ŚWIATŁO.

№ 1-szy.

...Krytyka nie może istnieć w dobie anarchji estetycznej. Jak każdy rząd, musi ona mieć prawo wydawania pewnych nakazów i zakazów, musi mieć nadto swoją egzekutywę, swoją siłę, na której się opiera...

Zdzisław Dębicki.

(Kurjer Warszawski z dn. 21 b. m. artykuł: „Ku odrodzeniu").

Gabinet w pałacu kanclerza krytyki.

Kanclerz słucha raportu z wczorajszego posiedzenia komitetu ministrów krytyki. Referuje sekretarz komitetu.

— ... następnie wysoki komitet przeszedł do rozpatrzenia ostatniego utworu Kazimierza Przerwy Tetmajera p. t. „Romans panny Opolskiej z Glówniakiem".

Zdania ministrów były podzielone: minister wojny z pornografją i minister dróg myśli patrjotycznej żądali konfiskaty nakładu, nazywając wyżwspomniany utwór produktem niezdrowym, minister zaś handlu ideałami łącznie z ministrami...

— Tetmajer... Tetmajer coś sobie przypominam, — przerywa kanclerz.

— On to, ekscelencjo, któremu przed miesiącem rozkazano podać najniższą prośbę o pozwolenie odbycia dwudziestopięcioletniego jubileuszu. Ma dyplom poetycki I-ego stopnia, rzędu C.

— Hm. Czy to istotnie sprośny ten romans?

— Minister wojny z pornografją twierdzi, że tak. Wymieniony Tetmajer złożył jednak notę usprawiedliwiającą z wyłuszczeniem okoliczności łagodzących natury materjalnej i rejentalną obietnicę poprawy przez nowy cykl poetycki o tendencji zbożnej p. t. „Na Anioł Pański" litera F.

— Więc książkę puścić i pisać o niej, że jest próbą odstręczania społeczeństwa od nieudolnej pornografji. Autor zaś niech mi złoży ozdobny egzemplarz utworu. Cóż dalej?

— Kwestja sztuki teatralnej p. t. „Kobieta bez skazy"

— Oh! Zapolska. Daj mi pan z nią pokój, na dziś przynajmniej.

—Wasza Ekscelencjo! to sprawa pilna, autorka...

— Ta ma zdrowie! Dopiero co mieliśmy tyle zawracania głowy z jej „Panną Maliczewską" — a teraz znów...

— Zapolska już napisała nową sztukę p. t. „Nerwowa awantura".

— Ależ to już przechodzi ludzkie pojęcie!! — i kanclerz aż wstał.—Trzeba się wziąć do niej energicznie.

— O tak, ekscelencjo, ale nastręczają się trudności. Zeszłe ministerjum nadało tej kobiecie tak wyjątkowe przywileje, że tylko nadzwyczajny sąd delegatów z komitetu ministrów łącznie z przedstawicielami publiczności mógłby je znieść, tymczasem zaś publiczność...

— A to co znów nowego? Z publicznością będziem się liczyć?! — i kanclerz w wzburzeniu nerwowymi kroki począł przebiegać gabinet.

— Ekscelencja raczy się nie przejmować tak całą tą aferą, — przecież zdrowie waszej ekscelencji stokroć więcej warte niż tysiąc Zapolskich — próbował nieśmiało uspokoić kanclerza sekretarz.

— Masz pan słuszność. W ładnąśmy jednak zabrnęli kabałę; wmówiliśmy w damę żywiołowy talent — ot skutki.

— Czy mogę się ośmielić na zrobienie skromnej uwagi?

— Ano?

— Zapolska zawsze była pod czyimś wpływem: zrazu Zoli, potym modernizowała...

— Trzeba ją było tedy uśmierzyć.

— Stało się, że przegapiliśmy. Teraz zaś poczytna autorka robi w brudach mieszczańskich... otóż radziłbym wysłać jej nakaz o momentalne naśladowanie choćby... wielkich klasyków; ona naturalnie i to będzie potrafiła potrafić, ale że klasycy i gust dzisiejszej publiki to — antypody, więc całą popularność djabli wezmą. A wtedy my drogą wyjaśnień zredukujemy nadane przywileje do zera (wyda się narazie w tym celu maleńką agitacyjną broszurkę jakiego początkującego krytyczka) a potym formalnie rozkażemy jej pisać jedną sztukę na dwa lata, i zawsze klasyczną. Ręczę się że po drugiej takiej sztuce będziemy mieli spokój.

— Hm. Hm. Da pan wiarę, że ja myślałem to samo?

— Ani na chwilę nie wątpiłem, że wasza ekselencja jednym wzlotem wysokiej swej myśli znajdzie wyjście z sytuacji.

— Dziękuję panu. I znalazłem. Przejdziemy do spraw dalszych.

Następnie komitet ministrów konferował ws prawie pogłoski, jakoby Stefan Żeromski miał pisać nową powieść o typie „Dziejów grzechu". Wysoki komitet z powodu niemożliwości kategorycznego stwierdzenia wyżej wymienionej pogłoski...

— Jakto niemożliwości stwierdzenia? Panowie ministrowie zapomnieli widać, czym są. Proszę odkomenderować dziś jeszcze komisarza krytycznego z konwojem, by zrobił rewizję u Żeromskiego. Wszystkie znalezione papiery dostawić do głównego komitetu ochrany krytycznej, i jeżeli znajdą się jakiekolwiek wskazówki rzucające najmniejsze bodaj światło na sprawę...

— Ekselencjo..

— Skonfiskować! Dość mamy tego warchoła! tego opozycjonistę! tego... lewicowca!! Dzięki dotychczasowemu niewybaczalnemu pobłażaniu rządu krytyki względem tego indywiduum, dzięki niebacznie udzielonemu mu dyplomowi pierwszego stopnia i to rzędu B, — człek ów...

— Ośmielam się...

— Proszę się nie ośmielać! Papiery skonfiskować, powtarzam! Rzeczonego zaś Żeromskiego zesłać na rok na Capri, ogłosić w pismach, że wyjechał na kurację i nakazać mu tam napisać garść nowel p. t. „Na wywczasach" — mogą być silne, nawet historyczne (coś w rodzaju „Dumy o hetmanie") a muszą być skromne i pokrzepiające pod grozą degradacji na dyplom siódmego stopnia z prawem noszenia tytułu „przeżytego pisarza". Proszę wygotować odnośny dokument.

— Według rozkazu. Chciałem tylko ośmielić się zauważyć, że wyżwymieniony Żeromski już wyjechał z kraju od...

— Tym lepiej, tym lepiej. — Cóż dalej?

— Na ręce komitetu napłynął szereg próśb. Z nich te oto są przedstawione do światłej decyzji Waszej Ekselencji.

— Daj pan.

Kanclerz szybko przebiega oczyma teksty próśb mrucząc i od czasu do czasu rzuca słowa decyzji.

— ... „płonąc żądzą utrwalenia religijności, wobec panoszącego się ateizmu i internacjonalizmu upraszam pokornie o pozwolenie wydania tomu poezji o podkładzie pobożnym i patrjotycznym — Arnold Gelblisz, rymotwórca dwunastego stopnia rzędu M." Pozwolić, —awansować o stopień i dwa rzędy — tom rozreklamować — tylko dać temu

Gelbliszowi pseudonim — hm — niech będzie: Lech Sarmacki, — ...„upraszam o udzielenie mi dyplomu czwartego stopnia dla łatwiejszej poczytności mej powieści historycznej p. t. „Piekarski na mękach“ i współczesnej p. t. „W szponach ewolucji“—Udzielić! — ... “Kornie proszę o laskawe pozwolenie na otwarcie teatru.. zobowiązuję się święcie przestrzegać §§... i §§... i proszę o naznaczenie dnia komisji rozpoznawczej, bym na takową mógł posłać personel męski...“ — Nie trzeba. — ... „zarówno jak żeński“.—Niech pan nie zapomni zawiadomić mnie o dniu komisji — i niech petent nadeśle 220 passe-partout dla rodzin znajomych wszystkich wzmiankarzy z ministerjum krytyki teatralnej. — ... „najwierniej donoszą, żem słyszał na własne uszy jak dwóch literatów, których nazwiska brzmią... wyrażało się nader niepochlebnie o ministrze szablonów, jako też dwaj wyrzeczeni literaci ośmielili się nazywać genjalnym do tej pory oficjalnie nieuwieszczonego rymopisarza Norwida...“ Odesłać to do tajnej kancelarji, obydwóch dziś jeszcze uwięzić, skonfrontować z donoszącym i ukarać według prawa.— ... „skazany na dwuletnie o mnie przemilczenie, upraszam ze łzami o skrócenie kary, obiecując solennie...“ Skrócić do roku. — ...„zawieszona w otrzymywaniu ról z powodu... błagam o osobistą wysoką audjencję, aby... Wera-Wioleta.“ Która to panie?

— Liryczna z „Odeonu“. Wspaniała blondyna.

— Hm. Posłać umyślnego, że przyjmę ją dziś o jedenastej. To już wszystko na dziś?

— Tak, Ekselencjo.

— A zatym żegnam.

— Najniższy sługa Waszej Ekselencji.

Po wyjściu sekretarza ekscelencja wyjmuje kieszonkowe lusterko, przegląda się długo, potym patrzy na zegarek, mówi: „dziesiąta“, i dzwoni. Zjawia się kamerdyner.

— Przygotować mi za pół godziny kąpiel, — rzuca kanclerz przez ramię — o jedenastej zjawi się z kartą audjencjonalną niejaka pani Wera-Wioleta. Wprowadzić ją do mego prywatnego gabinetu i na jedenastą minut piętnaście podać do buduaru obok gabinetu śniadanie..

— Słucham waszej ekscelencji

— Na dwie osoby.

Marchołt.

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

XVII.

Arystokracja przeżywa wówczas skutki straszliwego wstrząśnienia po katastrofie dziejowej — rewolucji francuskiej. Nie ochłonęła jeszcze ze zgrozy i oburzenia. Szuka ratunku na przyszłość w restauracji religijnej. Religja ma nietylko dodać jej ducha, lecz okiełznać rwącą się do wyzwolenia energję klas upośledzonych. Krzyż, obraz święty, różaniec przetwarza się w tych czasach na oręż i wał obronny. Rozogniona wyobraźnia arystokratyczna widzi w każdym przywódcy ruchu społecznego łotra z pod ciemnej gwiazdy i wydrwigrosza, z którym nie wchodzi się w żadne układy. W czasie powstania listopadowego jenerał Wincenty Krasiński, ojciec poety, składa — wprawdzie pod przymusem — przysięgę na wierność rewolucji, lecz, skoro go tylko puszczono do majątków pod Mławą, przebrany za chłopa ucieka za granicę, za nic sobie mając przysięgę wobec powstańców, i stamtąd pisze list do cesarza Mikołaja I z zapytaniem, co ma robić. Orężem i radą służyć przeciw krajowi nie będzie, pozatym — gotów jest na rozkazy. Wezwany do Petersburga, siedzi tam przez cały czas powstania, widuje się z cesarzem, miewa z nim długie rozmowy, nazywa go „aniołem“ i pisze w swym pamiętniku, że cesarz chce jaknajprędzej skończyć z powstaniem, aby potym zająć się „uszczęśliwianiem ludzi“. Lekkość, z jaką jenerał otrząsnął się z więzów przysięgi wobec powstańców prócz obawy o dobra doczesne — tłumaczy się jasno tym, że jenerał dostrzegł w ruchu powstańczym polskim nietylko dążenie do swobody politycznej kraju, lecz i znamiona przewrotu społecznego. W liście do syna pisze on w owych czasach: „Narodowości poznikały. Dwa kolory rządzą światem: porządek i rozruch — a to na to, żeby ci, co posiadają, nie posiadali, a ci, co nie posiadali, żeby posiadali“. Obawę i wstręt do przewrotów społecznych wziął Zygmunt zarówno od ojca, jak od całego środowiska, w którym wzrastał. W rozpaczy, jaka go ogarnęła z tego powodu, że nie bił się za Polskę, pewną ulgę przyniosły poecie głosy emigrantów, że kraj zgubiły kluby, dążące do zmian w ustroju społecznym.

Mickiewicz i Słowacki nie wiele wzięli z pojęć tego środowiska, w którym wyrastali, Krasiński przeciwnie — wyrasta z gruntu arystokratycznego. Jego uderzająca średniowieczność jest dobrze zakonserwowanym duchem kasty, do której był on wewnętrznie żywiołowo przywiązany i której rozpadanie się czuł i przeżywał jako swój własny tragiczny los. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ żegnał świat szlachecki spokojnie, po epicku, z lekką melancholją, a nieraz z uśmiechem pogodnego humoru. Krasiński chwyta się tego świata kurczowo, rozpalonymi dłońmi — ze straszliwą obawą, że jeśli ten świat się zapadnie, to on sam zawiśnie nad otchłanią. Bohaterstwo jego życia, to długie gorączkowe czuwanie nad konającym, galwanizowanie umierającego, aby wstał i żył pełnią.

XVIII.

Posiadał on klasowe, właściwe sferze, z której pochodził, poczucie karności, dalej dystansu, hierarchji, pietyzmu, który w chwili przepisanej umie się ukorzyć. Nieznośny despotyzm ojca-dynasty znosił całe życie z uległością, która byłaby w innej sferze niepojętą lub kazała przypuszczać mazgajowaty brak charakteru. To samo było w stosunku do Boga. Słowacki wbrew pojęciom chrześcjańskim powie o Bogu:

... nie jest on tylko robaków,
Bogiem i tego stworzenia, co pełza..
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków
A rozhukanych koni on nie kiełza..

A według Krasińskiego Bóg dał człowiekowi wolną wolę. Ale w jakim celu? Aby człowiek był posłuszny Bogu. Umieścił On człowieka na wązkiej kładce, z której może runąć w otchłań, gdyby chciał zbaczać. Innymi słowy: masz wolną wolę, ale gdybyś chciał jej używać — wolnym być według siebie, nie zaś według Boga — zostaniesz strącony.

XIX.

Prócz poczucia karności — posiada Krasiński inne cechy arystokratyczno-średniowieczne. Jako poeta i filozof zaleca nieustanną pracę wewnętrzną zmienność i doskonalenie się. Lecz tej pracy ma dokonywać człowiek na łonie skostnienia społecznego ustroju i warstw. Proteguje wieczysty czyn i stawanie się, lecz w ramach niezmiennych. Czy to stawanie się jest możliwe na owym łożu Prokrusta, na którym mają być rozciągani cierpliwi pacjenci? O tym Krasiński nie wątpi. Nigdy i nigdzie wzmianki, że upośledzeni majątkowo dążą do życia na doskonalszą miarę ludzką. Nie, to żądza dobrych obiadów i ciepłych łóżek, których zazdroszczą bogatszym, pcha ich do gwałtu.

Leon Choromański.

Wybór poezji Jana Kasprowicza

(„Pod znakiem poetów“ — wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa, 1911.)

Błogosławiona będzie chwila, w której ta mała cudna książka stanie przy tobie, Czytelniku! Jak biały anioł lub jak słup ognisty, zaprowadzi cię ona za sobą w kraj odludny, daleki — w tajemnicze pustkowie, gdzie mieszka, gdzie tęskni i cierpi dusza twoja.

Bo duszy twojej niema przy tobie! Gdy się ubierasz rano i pijesz swą kawę i czytasz swe gazety, — niema jej przy tobie; i niemasz jej wówczas, gdy idziesz do codziennego zajęcia, i gdy spędzasz długie godziny w biurze, warsztacie, pracowni lub w fabryce; nie spotkasz jej w drodze do teatru lub kabaretu, ani w kawiarni, ani w salonie, gdzie śmiech jest tylko grymasem, uczucie tylko pozą, myśl — przesądem, a dusza? — dusza stała się anachronizmem. O każdej porze i na każdym miejscu spotykasz innych ludzi, a raczej coraz inne maski ludzkie, ale sam ze sobą nie zetkniesz się nigdy, w końcu zapominasz o twej wewnętrznej prawdzie, o zasadzie swego istnienia, i stajesz się maską taką samą, jak inni. Na masce twej świat wypisze godło, pod którym krążyć będziesz w obiegu interesów życiowych. Takim godłem jest „spryt“ albo „poczciwość“, „uczynność“, „bezinteresowność“ lub „humor“. Każde z nich mówi o uczuciach przez ogół pokładanych w tobie, każde bywa drogowskazem dla innych, jak względem ciebie mają postępować, ale wszystkie razem cóż są zdolne powiedzieć o tobie samym, o tej jedynej najgłębszej tajemnicy, która tkwi na dnie każdego człowieka? Co o niej potrafisz powiedzieć ty sam? Co powiedzieć zdołasz o swej utraconej duszy? Czy opuściłeś ją zdradziecko, uchodząc z pola walki o ideały młodości? Czy ona odbiegła ciebie w dniach zwątpienia? lub może za oceanem marzenia, w świecie nieznanym, szuka nowych dróg do zwycięztw i podboju?

Poezja uczy nas duszy własnej; uczy nas ją zdobywać; poezja jest mową, którą porozumiewamy się sami z sobą: jakże często się o tym zapominał. Jakże często żądamy od poezji rzeczy płaskich i drobnych, których ona dać nie może; gdy tymczasem ona — daje rzeczy wielkie i tylko wielkie dawać umie.

Gdy potrzeba nam świec stearynowych, nie przeklinajmyż poezji, że nam ich dać nie może, ale idźmy do sklepiku, gdzie dostaniemy ich łatwo. Ale kiedy łakniemy słońca, wtenczas zwróćmy się do poezji, gdy zatęsknimy za swobodą, gdy zapragniemy ciszy i przestworu, wtenczas bierzmy od niej skrzydła, bo tylko ona skrzydła dać nam może.

I jeszcze jedno.

Nie wierzcie, czytelnicy tym, którzy utrzymują dzisiaj, że poezja kłamie, że łudzi majakami.

Poezja jest mową dusz waszych, jakżeby tedy kłamać miała?

Kłamią jedynie poeci. Ci, którzy nie mają— talentu.

W. R.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** *Światło przeciw Kulturze.* W kołach skrajnie lewicowych „nieprzejednańców“ ujawnia się szczególnego rodzaju deprawacja: rzekomi wrogowie kompromisu rzucili się hurmem po linji najmniejszego oporu i odtąd, zamiast walczyć z reakcją, podkopują postęp. Zamiast wytrwale i heroicznie podważać „przegniłe“ zręby „ustroju“ garść doktrynerów, grupujących się dokoła *Światła*, jęła się stokroć łatwiejszego zadania — a mianowicie podkopuje byt *Tow. Kultury Polskiej* i stara się w oczach członków tego T-wa zdyskredytować naczelny jego organ. Ostrze kampanji kieruje się przedewszystkim przeciw A. Świętochowskiemu, którego sposób myślenia był zawsze dla sekciarzy wysoce nienawistny. Jaskrawym wyrazem tych uczuć jest w ostatnim zeszycie *Światła* artykuł polemiczny, którego ustęp końcowy brzmi jak następuje:

> Kończąc artykuł o „Walce tyranów“ słowami: „nasz lud roboczy daremnie czeka przewodnictwa, które by go ogarnęło całkowicie i nie rozbijało na grupki, któreby wlewało weń światło, miłość, zapał, szlachetność pragnień, a nie fanatyzm, nienawiść i brutalstwo“ — p. redaktor *Kultury Polskiej* myli się i łudzi.
>
> Myli się, że lud czeka na przewodnictwo, on wydobędzie je sam z siebie.
>
> Łudzi się, jeżeli mniema, że lud powoła na przewodnika jego — Świętochowskiego. To on, Świętochowski, daremnie usiłuje się teraz narzucić na przewodnika ludowi.

Co najciekawsze, to fakt, że gdy maklerzy ze *Światła* stają między *Kulturą Polską* a ludem, wmawiając w ten ostatni różne heroiczne cnoty — nieszczęsny proletarjat fabryczny całymi dziesiątkami tysięcy idzie na lep różnych bractw „serca Jezusowego“ o ile nie drzemle w ponurej apatji, lub — w najlepszym razie — nie szuka nowych objawień w marjawityzmie. Trzeba zaiste niepo-

spolitej czelności i fachowego bezwstydu by wołać tryumfalnie, jak to czyni *Światło*, że „nad Świętochowskim przeszła do porządku dziennego polska klasa robotnicza“ będąca właśnie teraz łupem i pastwą różnych ciemnych, demagogicznych bractw. I trzeba przyznać, że nigdy żaden, najwsteczniejszy nawet odłam opinji polskiej nie natrząsał się z ludu tak cynicznie, jak czynią to rzekomi patentowani jego obrońcy.

*** *W przededniu wyborów*. Postępowy *Przegląd Wileński* wskazuje na konieczność zespolenia wszystkich żywiołów lewicowych w celu skutecznej walki z dotychczasową taktyką endecko-realistyczną, która nic prócz błędów i upokorzeń, krajowi nie przyniosła.

> Na konieczność powstania stronnictwa opozycyjnego, jednolitego, choćby w głównych linjach swych dążeń, różniącego się może ideologją od pierwszej pedecji, ale nieprzejednanego w zwalczaniu nacjonalizmu, klerykalizmu i reakcji — na konieczność tę wskazuje wszystko. Rozłam w obozie narodowo-demokratycznym, błędy bezprzykładne Koła petersburskiego, a wreszcie sytuacja rozproszonych żywiołów postępowych mówią za siebie.

W dalszym ciągu doradza *Przegląd Wileński* stworzenie „bloku opozycyjnego“ z udziałem secesji narodowo-demokratycznej czyli t. zw. frondy, która zresztą nie zdradza żadnych w tym kierunku skłonności. Stawiając plan przyszłego porozumienia wyłącznie na gruncie organizacyjnym, stwierdza organ wileński, że:

> Dążenia secesji narodowej-demokracji dość daleko odbiegają od ideałów dawnej demokracji postępowej i dziś — przynajmniej — trudno byłoby łudzić się, aby mogło nastąpić jakieś trwałe zbliżenie między temi dwiema grupami. Nie to też stawiać sobie winny te grupy za zadanie w dobie obecnej. Są dążenia negatywne secesji narodowo-demokratycznej, które tak zbiegają się z niektóremi z ogólnych pozytywnych dążeń postępowców, że dałoby się przy ich połączeniu utworzyć pewien program powszechnie opozycyjny, zdolny zwalczać podczas wyborów reakcję, wykwitłą na grucie sojuszu endecji z realistami.

Do tych słusznych uwag należy dodać jedno jeszcze spostrzeżenie: wbrew opinji różnych przygodnych i zasadniczych malkontentów grupy postępowe w Królestwie nie cierpią bynajmniej na brak ideologji własnej, lecz na brak silnej organizacji. W tym też kierunku winna być skierowana akcja postępowa w przededniu kampanji wyborczej: stworzenie silnej więzi organizacyjnej, któraby nareszcie dała jaką taką łączność rozproszonym po kraju żywiołom postępowym — oto wszystko.

*** *Zgnilizna*. Dwaj konfederaci Rydzyńscy hr. hr. Wodzicki i Potocki, w prostej linji od swych targowickich przodków idący, uzyskali już rozgrzeszenie, wślad za mecenasami Loewensteinem i Dziembowskim, którzy im w tej „potrzebie“ dopomogli. Oba Koła poselskie w Petersburgu, po gorliwych debatach, orzekły, iż hr. Henryk Potocki „nie uwłaczał obowiązkom obywatela Polaka. Podobnie zresztą pewien dygnitarz kościelny orzekł był w swoim czasie, że Damazy Macoch „nie uwłaczał obowiązkom kapłana“ bowiem ofiarę swą na śmierć poprawnie dysponował...

Trzeba jednak doszczętnej zgnilizny moralnej, jaka zresztą w kołach „miarodajnych“ naszych polityków niepodzielnie panuje, by nie wyczuwać i nie pojmować, że po dokonaniu tak szczególnej z rządem pruskim „tranzakcji“, bez względu na uprzejmie udzielone od kółka znajomych „rozgrzeszenie“ pp. Wodzicki, Potocki, Loewenstein, Dziembowski powinni usunąć się z widowni publicznej w zacisze domowe. Wymaga tego poprostu przyzwoitość, elementarny bodaj takt polityczny. Tymczasem — pisze *Kurjer Poranny* w art. „Rozgrzeszenie“:

> Żaden z tych panów nie chce się zrzec pretensji do działalności publicznej, do reprezentowania pokrzywdzonego społeczeństwa i przemawiania imieniem tej samej opinji, którą zgorszyli i obrazili. Chodzi o to, żeby i cnoty nie stracić i kapitału nie naruszyć, i pruskich marek nie darować i polskie mandaty zatrzymać.

Ci panowie znają dobrze swoich Pappenheimerów; obracają się wszak w sferach, mówiąc słowami *Głosu Warszawskiego* „dojrzałych politycznie“ a wiadomo wszak z doświadczenia, że w tych sferach:

> każdy Damazy znajdzie swego Izydora, co go rozgrzeszy w przekonaniu, że byle trupa dobrze do sofy zachować, a duszę jego wyekspedjować do nieba, to i publicznego zgorszenia uniknąć można i wszystkie święcenia zatrzymać. Rydzyńskim panom zależy na zatrzymaniu święceń; niestety, sofa po powierzchni wody pływa i nic jej przez okiem ogółu nie ukryje. W Rydzynie gospodaruje Schul-Collegium i w dodatku — tak samo jak na Jasnej Górze — nic nie wiadomo, gdzie się skarby podziały?...

Poczekajmy do wyborów — okaże się może, że skarb rydzyński poszedł śladem skarbu narodowego w Raperswillu do bezdennych kieszeni ludzi ze sfer dojrzałych politycznie i żywiących szczerą pogardę dla wszelkich moralnych pryncypiów.

Z prasy zagranicznej.

*** *Na cześć republiki chińskiej*. Pierwsze oficjalne uznanie nowej rzeczypospolitej wespół z hołdem, złożonym genjuszowi jej twórców miało miejsce w Paryżu, na bankiecie, gdzie obok kilku wybitnych żółtych dygnitarzy zajęli miejsca honorowe pp. Ernest Monis, b. premjer, Anatol France i Paweł Painlevé. Ten ostatni wygłosił mowę, z której kilka ustępów cytujemy według *Temps'a*:

„Wasza rewolucja była tak niespodziana i piorunująca, tak nieprawdopodobnie skuteczna, że dalibóg nie można się dziwić staruszce dyplomacji, która, nie wierząc własnym oczom, nakłada pośpiesznie okulary.

Mnie zaś, który jestem widzem dalekim i niewtajemniczonym, jawi się ta wasza rewolucja nakształt jednej z tych baśni cudownych, w których lubują się ci, co wierzą jeszcze w cuda, tudzież ci, co w nie już nie wierzą — coś w rodzaju ocknięcia się śpiącej królewny, ocknięcia, które dotyczy pół miljarda ludzi...

Niema w dziejach przykładu tak olbrzymich przemian, któreby tak niewiele ofiar i krwi kosztowały i tak nieznaczne tylko wywołały zamieszki.

W chwili, kiedy w pewnych kołach inteligencji panoszy się moda szydzenia z ideałów Rewolucji francuskiej — których zazwyczaj się nie zna lub nie pojmuje właściwie — nie jestże otuchą dla naszych serc republikańskich, że oto te same zasady, co przetwarzały Europę przed 120 laty, dziś nowe wlewają życie w ludy dalekiego Wschodu?

Nie samych jeno Chin dotyczy ten wielki ruch Odrodzenia: dotyczy on również Europy,

Ameryki, całej wreszcie ludzkości. Słuszną jest rzeczą, by ten olbrzymi zbiornik pracy, wynalazczości, myśli, jakim jest świat chiński, począł czynnie służyć postępowi ludzkiemu. Dwa tysiące lat temu były Chiny nietylko ogniskiem handlu i sztuki, lecz i ogniskiem wiedzy: niechaj tedy zajmą godne miejsce pośród narodów oświeconych.

Ci, którzy dziś powierzyli mi przewodnictwo tej uroczystości zapewne uprzytomnili sobie, że w ciągu całej mojej karjery naukowej, starałem się wyjaśnić w przeszłości i zapowiadałem na przyszłość współdziałanie wielkich społeczeństw globu w rozwoju ludzkiej potęgi. Zaszczyt to dla mnie niemały, to też ze czcią i dumą witam dziś zacządki i wolną, świetną przyszłość Rzeczypospolitej chińskiej".

Zabrał następnie głos p. O-tsu-lien, poseł chiński w Rzymie i w bardzo poprawnej francuszczyźnie zwrócił uwagę zebranych na fakt niezwykły i zdumiewający dla tych, co nie są wtajemniczeni w szczegóły narodzin republiki: akt proklamacji tejże ukazem cesarskim.

— Oto, panowie, fakt, przed którym wszyscy skłonili głowy: rzeczpospolita nasza urzędownie została powołana do życia przez chiński rząd cesarski i dlatego jest ona trwałą rękojmią pokoju dla świata.

KRONIKA.

TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ. Dnia 25 b. m. o godz. 11 r. w siedzibie własnej odbyło się walne roczne zgromadzenie delegatów wszystkich oddziałów Tow. Kultury Polskiej.

Przewodniczył p. Stef. Mierzejewski; asesorami byli: pp. Stan. Kruszewski z Warszawy, Niepokoyczycka z Piotrkowa, Pawłowiczowa z Rodzynia i Pełczyński z Radomia; sekretarzem p. Moszkowska i Piotr Zu-[illegible]

Delegatów przybyło 182.

Po wysłuchaniu protokułu ze zjazdu zeszłorocznego, p. L. Krzywicki uczynił uwagę z powodu niedostatecznej objektywności, skądinąd bardzo treściwego protokułu, z jaką został zredagowany. Zebranie uchwaliło uwagę tę przyjąć do wiadomości.

Nad sprawozdaniem zarządu zastanawiano się dłużej. P. Gąsiorowska uzupełniła sprawozdanie to szczegółami, odnoszącymi się do działu wypożyczalni książek. Przy dziale tym zorganizowano biuro porad dla czytelników. Czytelnicy składają się przeważnie z włościan i nauczycieli. Z 6,000 tomów, posiadanych przez wypożyczalnię książek, przeważają książki o treści naukowej i społecznej. Bibljoteka ta złożyła się z darów i zakupów. P. G. podała zebranym warunki prenumeraty i wogóle korzystania z książek.

W związku ze sprawozdaniem zarządu, zastanawiano się i wyjaśniano stan istniejącej przy ul. Marszałkowskiej Nr. 141 sali zajęć dla biednych dzieci. P. Krausharowa nawoływał przy tej sposobności do zainteresowania się losem tej sali i do zasilania jej środkami ze względu na doniosły naprawdę cel, podjęty przez kulturę polską, a zainicjowany przez p. Mejro.

Przy rozważaniu budżetu na r. b., obliczonego z niedoborem w sumie 800 rb., p. Kruszewski złożył wniosek przyjęty przez zebranych, aby wyznaczyć pozostałość na rachunku oddziałów do utworzenia stanowiska instruktora, któryby podtrzymywał stały kontakt z oddziałami prowincjonalnymi.

Na ten cel p. Rotwandowa zaofiarowała od siebie jednorazowo 100 rb.

Zarówno budżet jak i sprawozdanie zarządu zostały przyjęte.

Zgodnie ze zmienionym porządkiem dziennym przystąpiono do rozważania złożonych zarządowi wniosków przez oddziały.

Wnioski dotyczyły kwestji organu Tow. kultury polskiej miesięcznika *Kultura Polska*, redagowanego przez Aleksandra Świętochowskiego. Wniosek oddziału V-go, do którego przyłączały się i wszystkie inne wnioski w tej sprawie delegatów innych oddziałów, polegał na tym, aby miesięcznik ów był tylko informacyjno-metodologicznym w zakresie ruchu kulturalno-oświatowego.

P. Rotwand złożył wniosek zdjęcia z obrad sprawy miesięcznika i szeroko wniosek ten motywował.

Delegat V oddziału, p. Muszkowski zastrzegł się, że dotykać treści zarzutów, stawianych pismu *Kultura Polska* nie będzie, a jedynie na wzór p. Rotwanda, umotywuje wniosek V oddziału.

P. Moszkowski kategorycznie zaprzeczył pogłoskom rozsiewanym i w prasie i śród członków, o dążeniach V oddziału do zamknięcia pisma *Kultura Polska*, zaprzeczył, aby oddział ten wogóle żywił jakieś tendencje nieprzyjazne dla całości Tow. kultury polskiej i dla jego zadań.

Żądał tylko, w myśl złożonego wniosku, aby z nagłówka miesięcznika usunąć wyrazy „organ Tow. kult. [illegible]

W zarządzonym głosowaniu wniosek V oddziału przepadł.

Po przerwie obiadowej obrady wznowiono. Uczczono pamięć zmarłych czynnych członków: Izydora Mayznera i Nakoniecznego.

Przystąpiono następnie do odczytania sprawozdania ze wszystkich oddziałów prowincjonalnych, których jest obecnie 33.

W oddziałach prowincjonalnych daje się wyraźnie stwierdzić stały przyrost żywiołu ludowego, podczas gdy udział inteligencji pozostaje prawie bez zmiany, a nawet w niektórych oddziałach znacznie się zmniejsza. Prawie wszystkie oddziały pozakładały bibljoteki i czytelnie, uprzystępniono członkom literaturę naukowo-beletrystyczną. Niektóre oddziały pozakładały domy ludowe, kooperatywy spółdzielcze, przytułki położnicze, teatry amatorskie, urządzają konferencje publiczne, wszędzie tchnie duch postępu i wytrwały opór prądom klerykalnym.

Pojedynczy delegaci, uzupełniając ogólne to sprawozdanie przytaczali bardziej charakterystyczne fakty ze stosunków miejscowych, wyłuszczając warunki, w jakich istnieć muszą oddziały Kultury.

W Sosnowcu naprzykład księża bezwarunkowo poczytują za grzech należenie do kultury.

W innych miejscowościach fabrykanci lub kierownicy fabryk cofają raz dane przyrzeczenia czy to zaofiarowania lokalu, czy pomocy pieniężnej pod wpływem księży okolicznych.

Skarżono się na niedostateczne informacje oddziałów o tym, co się dzieje w oddziałach innych.

Z obrad wynikło dalej, że parę oddziałów, nie dających o sobie żadnego znaku życia, mianowicie w Łowiczu, Suwałkach kwalifikowały się do zamknięcia.

Zatwierdzono wreszcie uchwałę centralnego oddziału co do udzielenia z funduszu Domu ludowego 4,000 rb. tytułem pożyczki dla komisji budowy szkoły na Nowym Bródnie.

OD REDAKCJI.

Z powodu felietonu w Nr. 12 *Prawdy*, Redakcja wyjaśnia, że nie miała zamiaru obrażania p. Tadeusza Micińskiego. Jeżeli zaś ów poczuł się wbrew jej intencjom osobiście dotknięty, to niniejszym przeprasza go za mimowoli sprawioną mu przykrość.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Sekretarz redakcji przyjmuje [illegible] niedziel i świąt od 1[illegible] 2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośred[illegible]ctwem poczty, p[illegible] [illegible]słaniu kosztów [illegible]syłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce [illegible] zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski**. Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.